

## Sail More ... Work Less !

Karaibskie, żeglarskie wspomnienia na: [www.SailMore.pl](http://www.SailMore.pl)

Z cyklu:

**Sail More! ... więcej, lepiej, dalej.**

### 06.12.

Zjeżdżają się żeglarze, by spotkać się przy barze na lotnisku Orly.

Sondowanie charakterów, powolna integracja załogi (w różny sposób dotarliśmy na Orly z całej Polski – Warszawa, Wrocław, Poznań, Zakopane) – jest dobrze: brak kobiet i gówniarzy.

Tym razem właśnie tak miało być. Jak to przy barze, powoli wszyscy się rozluźniają, pojawia się klimat prawdziwie męskiej wyprawy.

14.30 Jumbo startuje. Na pokładzie 574 osoby w tym grupa około 30 - stu żeglarzy z Polski Stewardesa nie nadaża z donoszeniem mini - winówek. Jest coraz bardziej załogowo. Im wyżej tym bezpieczniej, tylko Rysiek nie daje się przekonać.... cośik błady.

Lecimy 9 godzin. Na Martynice lądujemy o 17.10. Na lotnisku w Fort de France zamieszanie z samochodami, bagażami, oparami. Zaskakuje nas gorące wilgotne powietrze i upierdliwy murzyn w Custom Office. Wszędzie muzyka reggae i posągowate, piękne, mahoniowe kobiety. Edek rozgląda się najbardziej aczkolwiek najdyskretniej.

Po 26 km jazdy w korku docieramy do mariny „Le Marin”. Obsługa wita nas rumem, reggae i chipsami. Jachty piękne, czyste, przygotowane jak na „The Race”. Na pięknym Gib Sea 43 o głupiej nazwie ANTHENA, nazwisko Kapitana, to nasza. Choć taka jak wszystkie to jednak najpiękniejsza. Choć zmęczeni – nadnercza buzują. Trochę głodni idziemy do tawerny. Żeberka – pycha, piwo- fe. Głęboko zasypiamy w swoich kojach. Nikomu nic się nie śni.

### 7.12.

Jaśka -„pierwszego” to chyba po..... – zrywa nas z koi o 6.00 rano. Marina odkrywa swoje uroki – widoki zapierają dech, upalne powietrze też. Kaca brak. Formalności, odprawy, poznawanie jachtów.

Doktorek z Andrzejem jadą po zakupy. Przywożą piwo, wino, rum, wodę i coś na przekąskę.

Ształowanie jachtu. Wychodzimy o 12.30 – kierunek Santa Lucia. Słońce cumuje za horyzontem, a my rzucamy swoje cumy w zatoce Marigot. Na kolacyjkę spaghetti. Z sąsiedniego brzegu kusi muzyka.

Na naszym też otwarte bary, ale ludzi mało. Krótki spacer po okolicy. Płyniemy gumiakiem do klubu na wodzie. Muzyka life. „Dredy” w szydełkowych beretach a’la kokon proponują na wejściu „-girls?

joints?drugs?" . „No, thanks, maybe later”. Wracamy na łódkę. Śnią nam się mahoniowe dziewczyny. Edkowi chyba też.

#### 08.12.

Znów pobudka 6.00, ale tym razem z przyczyn ekonomicznych. Spływamy by nie zapłacić opłaty portowej. Długi przelot. Początkowo chcemy minąć St.Vincent od nawietrznej, ale zaczyna nieźle dmuchać, a niektórym skończył się aviomarin. Kapitan Zbyszek decyduje się na zawietrzną. Na lewym trawersie St. Vincent spowity puchatymi czapami chmur z małowicznymi lasami palmowymi i różnorodnym nabrzeżem. Bliskie spotkanie z żółciem wielkości średniej wanny. St. Vincent zostawiamy sobie na później. Bequia wita nas głęboką zatoką Admiralicji, a w niej cała armada najróżniejszych jachtów. Stoi nawet fregata. Stajemy spięci w 3 jachty. Jest niedziela. Edek się ujawnia. Na mszę zapraszamy sąsiadów. Nie wierzą, że mamy księdza. Uroczysta suma w świątyni gdzie „palmy nam kolumnami, a niebo rozgwieżdżone- sklepieniem”. Wzruszenie, zaduma, przygody – tak rodzą się przyjaźnie. Tylko z sąsiedniego jachtu jakiś niedowiaręk: „ ej, wy tam! Jaj sobie k... nie róbtą”. Nie uwierzyli, że Edek to ksiądz. W Chrystusa też nie wierzono. Po mszy odpalamy „gumiaka” i płyniemy jak zwykle w kierunku muzyki. Pijemy rum, pinacoladę, jemy lobstery. „Dredy” grają reggae. Tańczymy. Biali umieją tańczyć. Z czystymi sumieniami idziemy w koje. Nie śni nam się nic.

#### 09.12.

Śpimy trochę dłużej. Rano korzystamy z ostatniego w kierunku południa przyczółka cywilizacji. Spacer po Bequi. Odprawiamy się na Grenadyny, telefonujemy, wysyłamy kartki. Jacek kupił sobie szydełkowy berecik – wyszedł z tego biały murzyn (a raczej różowy). Kotwica góra. Płyniemy na Cannuan. Kotwica dół. Jak natrętne muchy zlatują się czar...., - noskórzy biznesmeni proponując nam lokalne dobra. Zamawiamy gotowanego lobстера na plaży. Po krótkich ablucjach i kąpieli w solance wsiadamy do niezawodnego „gumiaka”. Lądowanie jak na plaży w Normandii – wszyscy mokrzy. Przemkowe wylewają wodę z aparatów fotograficznych. Lobster czeka ugotowany – nie powala. Za to powalają ceny w luksusowym hotelu na Cannuan. Długi spacer po wyspie. Dużo biedy. Krzysiu chce zrobić zdjęcie długonogiej lokalnej piękności. Krótkonogi, ale długobrody „dred” chce go zastrzelić – blefował, nie ma broni. Muszle wielkości małych umywalek leżą jak kamienie na ulicy. Na niektórych posesjach służą za budulec na ogrodzenie. Oj, dużo biedy. Wracamy na łódkę zastanawiając się nad karaibskimi kontrastami. Wieczorem, tak jak normalnie nie pijemy, tak się napiliśmy. Whisky dla odmiany. Doktor z Rikim próbują złowić rybę. Efekt jak w dobach poprzednich – g...

#### 10.12.

„Pierwszy” znów nas wywalił z koi o 6.00, bo niby wodę zatankować trzeba. Dobijamy do pomostu, a tu woda od 8.00. Korzystamy z dobrodziejstwa sanitariatów. Ogoleni, wykapani płyniemy na Tobago

Cays. Wspaniała żegluga przy żwawym wietrze. Trochę nawigacji między rafami. To były bramy rajy. Wpływamy na mini archipelag opisywany w „Księdze Rodzaju”.

Nie da się opisać, więc nie ma opisu. Gumiakiem zwiedzamy wyspy porośnięte kaktusowymi wężami i niską kosodrzewiną, zanurzające się w morzu białymi piaszczystymi plażami, na których rosną wysokie palmy pochylone w kierunku morza jakby się chciały przejrzeć w lazurowym lustrze wody. Pojedyncze łby kamieni wystają z wody, a na nich wygrzewają się kolonie krabów. Ostrą, białą linią z załamujących się fal, morze przedziela się na dwa kolory – ten jasny, turkusowy i granatowy. Tam jest rafa cel naszej wycieczki. Piotrek złapał jedną, jedyną rybę, ale chyba nie pijącą, bo uciekła. Jacek zaprasza nas na lobstery (dla odmiany). Party na plaży nie udane. Wygania nas „burza piaskowa”. Zabieramy stawnogę i wracamy na jacht. Nie ma jak w domu. Lobster z patelni lepszy niż gotowany. Tak jak normalnie nie pijemy, napiliśmy się rumu dla odmiany. Śnią nam się lobstery, a pierdzimy czosnkiem.

#### 11.12.

Budzimy się i przecieramy oczy. To jednak prawda. W planie całonocny pobyt na Tobago Cays. Śniadanko i interesy z lokalami. Ceny zaporowe. Całe szczęście na jachcie mamy Andrzeja, który zna się na negocjacji. Uzyskujemy wcześniej ustaloną cenę w zamian za lekcję anatomii czarnego człowieka. Wykładowca Andrzej podparł się pomocą naukową – korbą kabestanową. Jasek kupił sobie amulety – wygląda już całkiem jak tubylec, nawet tego samego koloru. Tylko warkoczyki trochę rzadsze. Słońce jara nas coraz bardziej. Nie pomagają filtry z dwucyfrowym faktorem anty UV nakładane szpachelką. Skóra złazi z nas jak z węży. Doktorek na wszelki wypadek przypomina sobie zajęcia z oparzeń.

Pakujemy do gumki sprzęt do nurkowania i płyniemy na rafę. Widoki nieopisane, więc opisu nie ma. Doktorek cieszy się, że nie złowił ryby, bo jakby ją złowił to by nie wiedział czy ją zjeść, pogadać, wydupcyć, czy poprosić o 3 życzenia. Edek nurkuje, ale jest za płytko i głowa nie chce mu się zanurzyć. Jasek wkur....., bo mu się komputer do nurkowania zepsuł, a bez tego dupa błąd. Sprzętu chyba ze 30 kilo zabrał a tu przez jeden „zegarek...” Pożycza komputer i dołącza do Robina na prawdziwe nurkowanie. Przemo przypomina o zamówionym lobsterze. Na to słowo wszyscy dostają torsji. Pojawia się „konflikt”, a my nie lubimy konfliktów. Po powrocie Jaśka, kotwica w górę – odłączamy się. Kłopoty z postawieniem grota. Krzysiek bez pomocy ogona wdrapuje się na salinę – a więc jednak od małpy a nie od Adama i Ewy – szkoda. Nocna żegluga między rafami w dobrym przechyle. To lubimy. Chcemy płynąć całą noc, ale ubezpieczenie jachtu nie obejmuje żeglugi nocnej, a my akurat nie mamy drobnych. Wpływamy na gościnne Cannuan. Jest noc. Tak jak normalnie nie....

#### 12.12.

Uzupełniamy wodę i płyniemy na St. Vincent. W eskorcie delfinów wpływamy do urokliwej zatoczki gdzie stajemy na kotwicy. Plaża dostępna tylko od strony morza. Na brzegu domki w sam raz na wczasy a'la Robinsona Crusoe. Wspaniałe nurkowanie z maską pod czujnym okiem instruktora Jaśka. Wojskowa grochówka włącza nam dopalacze, płyniemy dalej na północ. Znów dość trudne podejście nocne. Załoga stęskniona za cywilizacją idzie na kolację do lokalnej knajpy. Oczywiście muzyka life.

Riki zostaje Rikim i od dziewczyn opędzić się nie może. Aż go kręgosłup przestał boleć. Powrót na jacht i tak jak normalnie nie....

### 13.12.

„Pierwszy” zwała nas z koi razem ze słońcem. Najdłuższy przelot. Edek zamknął się w pustelni pod pokładem chyba razem z tygrysem, bo od czasu do czasu słycać ryczenie. Andrzej dostał od Doktorka witaminę, że niby aviomarin i zadziało. Doktorka bolą džiała – chyba skorbut. Krzyškowi wylała się grochówka – teraz ma poparzone czoło, nos i jaja. Jacka zaatakowała jakaś egzema. Wiadomo 13. Tylko Kapitan i Pierwszy poza kataklizmami. W nocy wchodzimy do macierzystej maryny na Martynice. Później przeczytamy, że wplywanie w nocy jest tam zabronione z powodu trudnej nawigacji. Paszke byłby z nas dumny. Doktorek wypisał skierowania do psychiatry. Kapitan trochę pobladł. Pierwszy skwitował to całym zdaniem: hej! Ożyło wspomnienie pysznych żeberek. Powtórka, tym razem po całej porcji i dla odmiany kilka butelek wina. Na jachcie wieczór szantowy. Pod koniec rejsu okazuje się, że umiemy śpiewać. Mimo późnej godziny okoliczne jachty biją brawo. Muszą – my też umiemy bić!

### 14.12.

Początkowe plany pływnięcia na Dominikę spalają na panewce z powodu braku odpowiednich map, locji i chęci. Lepiej poznać Martynikę. Dopływamy do pięknego St. Pierre, które urzeka historią, architekturą i nastrojem. „Gościnni” policjanci robią nam rentgena na jachcie. Nic nie znaleźli - dobrze schowane. Andrzej przygotowuje spaghetti serowe – pycha. Wieczorny spacer po miasteczku. Deszcz. Jaško „pierwszy” stawia wino. Obalamy na chodniku pod sklepem. Klecha też. Lokalne kobiety podobają nam się coraz bardziej. Klesze też. Riki z Doktorkiem kupują mrożone makrele w delikatesach, na przynętę. Złapali to samo, co zawsze czyli g..... A trzeba było zjeść makrele.

### 15.12.

Jaško budzi nas zapachem jajecznic. Śniadanko kontynentalne i spacer St.Pierre by day. Akurat trafiliśmy na wielki festyn z okazji 100- lecia wybuchu wulkanu, który pogrzebał ponad 30 tys. ludzi. Zwiedzamy muzeum. Malownicze regaty lokalnych Jollów jakby specjalnie przygotowane na naszą cześć. W korowodzie kolorowych żagli żegnamy St.Pierre. Płyniemy na południe rozpamiętując rejs. Robi się smutno i melancholijnie. Jest niedziela. Trzaby do kościoła. Z brzegu jakby nas woła takowy, nawet trochę .polski. Do lokalnego księdza idziemy po klucz. Po kilku zdaniach po angielsku przechodzimy na polski. Idzie nam lepiej, bo ksiądz Zenon (dalej Zenek) rodakiem naszym się okazał. Zwiedzamy razem miasteczko dowiadujemy się wiele o miejscach, w których już byliśmy. Uczestniczymy w wesołym wieczorze adwentowym wspólnie z lokalnymi parafianami.

Znów śpiewamy, tym razem kolędy. Nasz jachtowy kapelan – Edek odprawia msze w kościele. Wieczór wigilijny na jachcie. Dzielimy się opłatkiem, pijemy rum i wino. Planujemy następne rejsy. Żegnamy się z Zenkiem i dopijamy ze smutku, że to ostatnia nasza noc na ANTHENIE.

#### **16.12.**

Znów o 6.00. Dwa halsy i jesteśmy w Le Marin. Przepływamy obok Diamentowej wyspy, o której wiemy z opowieści księdza Zenona zwanego Zenkiem. Jacht zdajemy bez problemu. Jedziemy do Fort de France. Zwiedzamy miasto. Powrotny lot jakiś cichy. Rykiego na Orly pies antynarkotykowy polubił, co spowodowało, że załoga ze śmiechu tarzała się po ziemi. A Ryki został obmacany przez antyterrorystę - u chłopaków też ma brania. 100 pociech z tym naszym Rikim.

Zakończenia nie będzie, bo musiałyby być osiem zakończeń.  
Jedno jednak wiemy na pewno – w tej załodze każdy:...” w każdej chwili płynie w taki rejs...”

**Sail More! ... więcej, lepiej, Karaiby!**  
Odwiedź nas na: [www.SailMore.pl](http://www.SailMore.pl)

